Opłatę pocztową uiszczono ryczałtem.

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC

ROK VIII WARSZAWA, CZERWIEC 1933 R. Nr. 6

Redaktor Odpowiedzialny: Ks. St. SKIERSKI
Adres Redakcji:
Warszawa, ul Leszno Nr. 20 m. 4. Tel. 11.38-32.

Wydawca:
KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ
PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANEJ
Adres Administracji—Leszno 20. Tel. 11.46-32.

WARUNKI PRENUMERATY: Rocznie zł. 12; półrocznie zł. 6; kwartalnie zł. 3, Pojedyńczy numer zł. 1.50

CENY OGŁOSZEŃ: Okładki strony 4-ej 150 zł; strony 2-ej 100 zł; strony 3-ej 75 zł.

Konto czekowe Pocztowej Kasy Oszczędności Nr 12.423

TREŚĆ NUMERU

1. Letnie wywczasy 81
2. *Kazimierz Kosiński.* — Z dziejów średniowiecznej hymnologji polskiej (dokończenie) 83
3. *Paweł Hulka-Laskowski.* — Ludzie i ich sprawy . 85
4. *Jerzy Kurnatowski.* — Pozyskanie korony czeskiej przez Jagiellonów (dokończenie) 87
5. *Romuald Balawelder.* — Dusza Północy (d. c.) . 90
6. Synod Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w Rzeczypospolitej Polskiej 93
7. Wiadomości z kościoła i o kościele . . . 95
8. Ofiary i Porządek nabożeństw 96

ROK VIII WARSZAWA, CZERWIEC 1933 R. Nr. 6

Redaktor odpowiedzialny: **Ks. St. Skierski.** Adres Redakcji: WARSZAWA, UL. LESZNO Nr. 20 m. 4

Wydawca: KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANEJ
Adres Administracji: LESZNO 20.

LETNIE WYWCZASY.

„A sam poszedł w puszczę..."
1 król. 19 w. 4.

„Jest Bóg na niebie, który objawia tajemnice".
Danijel 2 w. 28.

Już minął okres świąt: Boże Narodzenie, Zmartwychwstanie Pańskie, Zesłanie Ducha Świętego — za nami. Zadaniem ich było przesunięcie po raz nie wiem już który przed obojętną duszą człowieka niezatartych, a tak radosnych w swej dojrzałości i mocy, tajemniczych przedstawień o konieczności przerodzenia się człowieka z istoty niezdatnej do twórczej, owocnej i dobrej pracy, w istotę pełną mądrego a pogodnego samozaparcia się na rzecz ofiarnego służenia jednostkom, społeczeństwom, narodom, ludzkości. Mówiły one nam i mówią wciąż o tych tajemniczych prawdach, że człowiek przychodzi na świat po to, by dla istoty świata, którą jest grzech i zło, — umrzeć, zmartwychwstać natomiast dla Królestwa czystości moralnej, prawdy, miłości i mocy i odtąd już realizować je wytrwale mocą ducha nie swego, ale Świętego.

Minęło to pierwsze, tak doniosłe w swem znaczeniu dla człowieka, półrocze i nastaje okres jakby odprężenia, odpoczynku dla nękanego sumienia. Zmęczyło się ciało, zmęczyła się i dusza. Obecnie pragnienia nasze skierowane są na drogi, wiodące nas poza miasto, w ciche ustronia wiejskie, na łąki, kąpiące się w jasnościach słońca, do lasów, nęcących tajemniczością, zapraszających na wypoczynek od skwaru lipcowego w cieniu i miłym chłodzie. Jest to pragnienie powszechne, zupełnie zrozumiałe, niestety dla większości mieszkańców miast i miasteczek nieosiągalne w granicach zupełnie słusznych potrzeb. Niejeden z nas, udających się na wywczasy letnie, zapytuje siebie, co będzie robił w czasie wypoczynku? Bo przecież trudno wyobrazić sobie, żeby człowiek mógł spędzić miesiąc lub nawet parę

w zupełnej bezczynności. To już muszą być ludzie albo naprawdę chorzy, albo zdemoralizowami lenistwem. Zabieramy więc ze sobą robótki, książki, gry i t. p.

Tekst pierwszy, umieszczony u góry, został wzięty z historji proroka Elijasza. Po ciężkich przeżyciach natury duchowej, zagrożony utratą życia, zrozpaczony prorok udaje się w ustronną miejscowość, by duszę swą wypłakać przed Bogiem. I tam, w ciszy natury, Bóg objawia mu samego siebie i swoje tajemnice, oświeca, cieszy, krzepi, pogłębia, uzdalnia go do owocnej, dalszej pracy. Teksty powyższe nasuwają nam, drodzy moi czytelnicy, jeszcze jedno zajęcie tak ważne dla wypoczynku duszy, a co za tem idzie — i ciała. Na wywczasach wolni jesteśmy od tych codziennych trosk i kłopotów, absorbujących omal całego człowieka. Cisza wsi dziwnie sprzyja uspokojeniu potarganych życiem miejskiem nerwów. W tej ciszy, nie zadając sobie specjalnego trudu, możemy rozważać podstawy życia, powołania i cel, ku któremu zdążać ma człowiek. Materjału, bogatego w najdonioślejsze tajemnice, dostarcza nam treść świąt minionych. „Jest Bóg na niebie, który objawia tajemnice". Te tajemnice, dotyczące losu człowieka, należy do pewnych granic zakreślonych przez Boga poznać, w nich pogłębić się. Trzeba przecież dać wytchnienie nietylko ciału, ale i duszy, nękanej niepewnością i niepokojem. Niezbędnym środkiem, umożliwiającym te zbożne rozmyślania, konkretyzującym je, jest Słowo Boże pisane. Nie zapomnijmy więc, drodzy moi, zabrać ze sobą i Pismo Święte. Cudne zaiste, jedyne w swoim rodzaju, są te objawienia z góry. Któż nie zna ich słodyczy? Któż nie zna tej specyficznej światłości wewnętrznej, jasności i bystrości myśli, bogactwa jej treści? Któż nie przeżywał tych wzlotów wiary, smutku duszy „według Boga".

Tu jednak, drodzy moi, idze o coś poważniejszego, celowego. Nie zapominajmy o tem, że dusza nasza, bez względu na te lub inne poglądy ludzkie, jest nieśmiertelną. Wyraz „nieśmiertelność duszy" spowszedniał wprawdzie i sam przez się nie może już służyć bodźcem do rozważań nad nim. Nieśmiertelnośś duszy człowieka—to jednak wielka rzecz i wielka tajemnica. Nie zatrzymujmy się na literze, bo „litera zabija, ale Duch ożywia", Ducha więc należy przyjąć. Jak wypadnie owa tajemnicza nieśmiertelność dla mnie? Jaka łączność istnieje pomiędzy życiem duszy, gdy przebywa ona jeszcze w ciele, a życiem jej po śmierci ciała? Jeżeli ta łączność istnieje, — a przecież prosta logika nawet wskazuje na to, — jakie winno byc nastawienie tego życia tutaj, na ziemi? To sprawa przeogromnej, zasadniczej wagi. Czy moja dusza jest już odpowiednio nastawiona i czy aby napewno? A jeżeli nie, co należy robić, by weszła ona na właściwą drogę? Czy dróg tych wiele, dla każdego człowieka inna, czy też, zasadniczo biorąc, jedna jedyna? Jakaż to droga? Jak przedstawia się ona nie w ogólnikach, ale konkretnie, w codziennem szarem życiu? W tych rzeczach wahać się wolno tylko do czasu Lekceważąc sprawę, możemy dojść do takiego stanu duszy, w którym będzie już zapóźno. Nie daj tego Boże! Tu trzeba mieć pewność, bo rzecz sama w sobie jest za poważna. Tych tajemnic żadna mądrość ludzka nie zbada, albowiem tylko Bóg na niebie objawia tajemnice. Nasuwa się tutaj tyle zagadnień pierwszorzędnej wagi! A właśnie warunki wypoczynkowe tak świetnie nadają się do zastanowienia się nad nimi. Dla większości z nas, drodzy czytelnicy, to może jedyny czas, kiedy możemy wejść w siebie. „Królestwo Boże wewnątrz was jest" objawia Chrystus Pan.

Niech Bóg łaskawy raczy usposobić nas do żywego zainteresowania się własną duszą i przyjęcia Jego światła dla rozpoznania w niem choć w drobnej bodaj cząstce tych zbawczych dla nas tajemnic. To Panie Boże zdarz!

Ks. K. Ostachiewicz.

KAZIMIERZ KOSIŃSKI.

Z DZIEJÓW ŚREDNIOWIECZNEJ HYMNOLOGJI POLSKIEJ.

(d. c.)

V.

DOKOŃCZENIE.

Hymnologja polska wieków średnich przedstawia się ilościowo dość pokaźnie, jakościowo stanowi jednak słabe tylko echo potężnej hymnologji łacińskiej. Początkowo widoczne są w niej wpływy hymnologji czeskiej, a po wybuchu reformacji — niemieckiej.

W historji poezji polskiej hymnologja średniowieczna odegrała rolę pierwszorzędną, jako szkoła talentów i jako droga do naszej wielkiej poezji XVI w. Wyrobiło się w niej poczucie miary wierszowej, urabiały się w niej pierwsze metafory i porównania, rodziły się strofy, aczkolwiek ich bogactwo było jeszcze minimalne, co dotyczy także i rodzajów wiersza. Strofy przeważają 4-o i 6-o wierszowe, wiersz 8 zgł. lecz spotykamy tu również trafnie zastosowany 13-o zgłoskowiec i inne. Gorzej jest pod względem rymów, które są wyłącznie prawie gramatyczne; brak tu również dobrze użytych asonansów, które im bardziej wstecz, tem są lepsze.

Z drugiej strony zasługuje na uwagę bogata skala treści tej poezji. Odbija w niej charakter średniowieczny doznań religijnych które negowały radość życia, grążąc się w mistyce i kontemplacji Boga. Człowiek średniowieczny był po za życiem, nie porywało mu ono duszy, nie nakazywało bohaterstwa dnia codziennego. Życie było męką na padole ziemskim, a przeznaczeniem i celem jednostki było zbawienie wieczne. Wiara była drogą duszy do Boga, dawała jej skrzydła, na których odlatywał człowiek z ziemi, od życia... Człowiek średniowieczny grążył się cały w modlitwie, która nie miała wpływu na samo życie. W średniowieczu raz po raz spotykamy ludzi o gorącej wierze a życiu pełnem zbrodni, gdy zadośćuczynienia szukano w budowie nowych kościołów i obserwancji religijnej. Treścią zasadniczą duszy była natenczas adoracja, znajdująca wyraz w oderwanym od życia kulcie religijnym—i dlatego hymnologja średniowieczna ma charakter kościelny, obrzędowy, adoracyjny, pobożny, a nie religijny w szerokiem tego słowa znaczeniu.

Kiedy przyszła reformacja, przeważyły w niej dane dogmatyczne, które nadal nie pozwoliły pieśni wznieść się do wyżyn czystej, oderwanej liryki religijnej. Nie będzie paradoksem, jeżeli powiemy, że taka poezja religijna nie mogła zrodzić sie bez sceptycyzmu i pesymizmu, a tudzież przyrody.

Humanizm dawał przewartościowanie treści religijnej dusz, które pogłębił uznaniem życia oraz sceptycyzmem i pesymizmem. Humanizm sam wystarczyłby za nową religję. Jakoż ta nowa religja humanizmu przejawiła się w literaturze europejskiej tego czasu i wchłaniali ją poeci i pisarze polscy XVI w. kształcący się na Zachodzie. Nic też dziwnego, że na ogół nie mieścili się potem w ramach żadnego wyznania, że nie mogła ich wchłonąć także reformacja. W owej religji humanistycznej nie było miejsca na dogmatyzm.

Z drugiej atoli strony nic dziwnego, że ta nowa czysta liryka religijna zaczerpnie bezpośrednio treści z humanizmu, pomijając dane wyznaniowe i dogmatyczne, jako takie. Palingenjusz, jako poeta religijny, czy Erazm z Rotterdamu, jako filozof religijny, byli humanistami i sceptykami. Kochanowski w Polsce, jako poeta religijny, był pod wyraźnym wpływem Palingenjusza—sceptyka i sam był sceptykiem, ale czuł Boga i przyświadczył mu sercem. Człowiek w jego poezji staje się bożem igrzyskiem:

On Boga nie widziawszy, taką dumę w głowie
Uprządł sobie, że Bogu podobnym się zowie.
On, miłością samego siebie zaślepiony,
Rozumie, że dla niego świat jest postawiony;
On pierwej był, niźli był; on, chocia nie będzie,
Przecie będzie; próżno to, błaznów pełno wszędzie.

Tak może pisać tylko sceptyk, ale religijny sceptyk. W jego poezji stosunek do Boga staje się osobistym, lecz Boga ujmuje się przez

przyrodę, syntetycznie, nie w rozbiciu kultu na uroczystości i święta, bez ograniczenia osobowego, chociażby w zakresie samej Trójcy. Zostaje natenczas Bóg i człowiek w rozpłomienieniu uczuć. Zostaje tylko Bóg i człowiek, nie bojący się śmierci w obliczu przyrody, ale widzący zło i pragnący nad niem pomsty bożej i gniewu bożego, jak w starym Testamencie.

W religji tej humanizmu człowiek nie pyta o swoje „dni i prace", a Boga czuje w przyrodzie i wielbi Go życiem, które za największy dar boski uważa. Nie doszukuje się filozoficznie atrybutów Boga, wie, że jest wszechmocny i wielbi Go za dobrodziejstwa, które widzi w całej przyrodzie i którym niemasz miary. Boga też nie ogarnie Kościół, albowiem jest On wszędzie:

I w otchłaniach i w morzu, na ziemi,
na niebie...

Modli się wtedy poeta religijny-humanista do Boga:

Złota też, wiem, nie pragniesz, bo to
wszytko twoje,
Cokolwiek na tym świecie człowiek
mieni swoje.
Wdzięcznem Cię tedy sercem, Panie,
wyznawamy,
Bo nad Cię przystojniejszej ofiary
nie mamy.
Tyś Pan wszytkiego świata, Tyś niebo
zbudował
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował...

Kto się w opiekę poda Bogu i prawdziwie zaufa Mu sercem, ten nie boi się trwóg, ani obierzy łowczych, nie lęka się też zarazy, ani dba na strzały, któremi sieje przygoda. Bóg atoli nie upewnia człowieka, by miał go strzec od przygód i wiarować od złego. Człowiek nie ma prawa żałować się swego nieszczęścia, że mu się nie stało dosyć zacnej obietnicy Boga, który jest poza jednostkowym losem ludzkim. Mieszka człowiek w niepewnej gospodzie, a urodził się pod prawem, że jako cel być musi przygodom wszelkim. Idzie o to, aby w niefortunie nienazbyt tęsknić i znosić los, który nie zejdzie z drogi ze względu na płacz człowieka, a niewola ciągnie, choć kto nierad idzie. Z drugiej jednakże strony nadzieja w tem, że Bóg jest jeden: i ten, co chmury zbiera i ten, co rozświeca niebo słońcem złotem.

Jak widzimy, stosunek do Boga jest tu nawskroś osobisty, czy, kiedy człowiek nie może się wydziwić Jego wszechmocy i rozumowi, czy, kiedy w godzinę smutku nadzieję w Nim kładzie i szuka rady, albo się modli... Jest to prawdziwa liryka religijna, która nie wyklucza godzin upadku ducha w smutku człowieka aż do śmierci, która nie wyklucza też istotnego sceptycyzmu i obejmuje duszę ludzką z jej doznaniami religijnemi.

Kochanowski jednakże nie miał naśladowców i polska liryka religijna wróciła po nim do roli pieśni nabożnej, która w wieku XVII pod ręką nawet takich poetów, jak Wespazjan Kochowski i Wacław Potocki zmalała do utworów dewocyjnych, jakich nie znały nawet wieki średnie, podczas gdy cały szereg pieśni dawnych zeszedł wtedy do repertuaru dziadowskiego, nie wyłączając Bogurodzicy, Zołtarza Jezusowego i innych. Później, w dobie największej reakcji pobożności o wybitnych znamionach bigoterji, a mianowicie pod koniec XVII wieku i w czasach saskich zrodziła się znaczna ilość pieśni, które, gorsze od dawnych, wyrugowały je z kancjonałów i utrzymały się w nich do dzisiaj, tak, że naogół biorąc, do naszych czasów zaledwie kilka pieśni średniowiecznych zdołało się dochować w kościołach i to w mocno zmienionej postaci. Pieśni te poprawiano tak, jakby kowal przekuwał biżuterję, a cieśla przerabiał średniowieczną rzeźbę Chrystusa, a malarz pokojowy odnawiał inicjały i minjatury w pięknym zabytku rękopiśmiennym. Dokonano zaś ostatecznie hymnologji polskiej średniowiecznej w czasach stanisławowskich, kiedy pod wpływem racjonalizmu uznano całą staropolszczyznę za barbarzyństwo i sarmatyzm, nie oszczędzając Kochanowskiego, którego psalmy poprawiał wtedy Karpiński, wzruszająco naiwny w swem przekonaniu, że tworzy arcydzieła. Nie darowano wtedy pieśniom tej miary, jak Kto się w opiekę, którą we wszystkich kancjonałach widzimy dziś zepsutą.

Tymczasem te stare polskie pieśni religijne posiadają urok i brzmią sakralnie, owiewając dusze legendą wieków w ich żywem, twórczem słowie, które otacza nas tłumem widm ludzi przed wiekami zeszłych, a którzy tak mówili i takie śpiewali pieśni. Możemy też z całem przekonaniem stwierdzić, że nie ma kultury religijnej ten, kto nie czuje uroku dawnej pieśni, do kogo ta pieśń nie przemawia swoją naiwnością formy przy bardzo nieraz głębokiej treści.

KONIEC.

4 sierpnia 1932 r.
Zgórsko.

PAWEŁ HULKA LASKOWSKI.

LUDZIE I ICH SPRAWY.

François Mauriac to najgłośniejszy dzisiaj pisarz katolicki. Niestety, w tem konwencjonalnem znaczeniu słowa, które miesza Boga i mamonę, świat i kościół, politykę i wiarę. Powieści Mauriaca podobne są we wszystkiem do innych powieści z tą tylko różnicą, iż jeden z bohaterów wyznaje wiarę rzymsko-katolicką i truje się swemi grzechami, nie zrywając z niemi w sposób radykalny. Ten katolicyzm literacki, jaki znamy zresztą już z pism Bourgeta, jest wygodnym i miłym kompromisem: tu grzech, tu spowiedź, tu występek, tu jułmużna, tu operacje bankowe, a tu msza święta... Katolicyzm nie znosi radykalizmu i w swoim kompromisie posuwa się tak daleko, jak bodaj żadna inna instytucja na świecie. Ale w tej kompromisowości liczni ludzie znajdują pokój i spokój.

Niedawno temu ów Mauriac napisał do swego kolegi, równie znakomitego pisarza francuskiego, Panaita Istratiego, list, godny poznania. Istrati jest chory i przebywa w sanatorjum, a Mauriac pisze do niego m. i.: „Podziwiam pana i serdecznie współczuję cierpieniom pańskim. Chciałbym, aby pan poznał Chrystusa; i życzę panu, aby w sanatorjum, w którem pan przebywa, Chrystus dał się panu poznać. Niech pan się modli o to".

Istrati, południowiec o krwi gorącej i umyśle porywczym, odpowiedział Mauriacowi: „Wywala pan drzwi otwarte, powiadając, że tajemnicą wszystkiego jest miłość i że pan żyje miłością aż do wyrzeczenia się wszystkiego. Bardzo dobrze. Jest pan sprawiedliwy. Ale ja także, jak pan widzi. Dobrze więc: przyjmuję pańską wiarę, ponieważ zbiega się ona z wiarą moją. Chcę być chrześcijaninem-katolikiem, jak pan. Ale pod jednym warunkiem: wypowiedzenia przez nas wspólnej wojny w imieniu Chrystusa wszystkim ludziom egoistycznym i dzikim tego świata. Wojny bez litości, choćby ta wojna miała prowadzić do rozbicia społeczeństwa. Składam panu obietnicę: jeśli wyzdrowieję, to przybędę do Paryża i obaj zjednoczymy się w tej wierze, która góry przenosi, i pójdziemy, jak Chrystus, głosić wiarę wojowniczą po wszystkich drogach świata. Jestem niezłomnie przekonany, iż będziemy mieli natychmiast bardzo wielu zwolenników. Wygnamy faryzeuszów z kościoła chrześcijańskiego i szaleńców z domu kumunistycznego. Weźmiemy na siebie życie twarde i męczeńskie.—Jeśli w tej intencji posyła mi pan Chrystusa do mego łoża „szczęsnego cierpienia", to jest w celu poświęcenia całkowitego dla wyzwolenia ludzkości, w takim razie owszem, chcę umrzeć jako katolik. Staniemy się dwoma nowymi chrześcijanami. A potem będą ich miljony.—Lecz gdyby wbrew temu mojemu oczekiwaniu, zamiast Chrystusa przybywał do mnie nie ktoś żyjący, lecz coś takiego, jak ten ubożutki krzyżyk, który raczył mi pan posłać, wówczas nie i nie! W takim razie musiałbym powiedzieć, że mojemu głodowi i pragnieniu sprawiedliwości odpowiada świat inny. Jest to świat istniejący tylko w sercu mojem".

Panait Istrati był parę lat temu w Sowietach, gdzie także szukał sprawiedliwości społecznej dla swego pragnienia i głodu ducha. Aczkolwiek komunista z przekonania, po powrocie z Rosji napisał ostrą krytykę władz sowieckich i ich biurokracji bezdusznej. Budzi więc zaufanie do swej szczerości. I właśnie ten człowiek powiada, że chce chrześcijaństwa czynionego, wzorowanego bezpośrednio na Chrystusie, ale nie zgodzi się na chrześcijaństwo mówione i gestykulowane, na chrześcijaństwo martwych krzyżyków i całej tej symboliki, przeciwko której występował tak ostro Kierkegaard, Mickiewicz, Lemennais i tylu innych, już sto lat temu.

Na takie chrześcijaństwo, o jakiem pisał Instrati do Mauriaca, czekają miljony, ale cóż widzimy jednocześnie? We Włoszech panuje faszyzm, czyli bałwochwalcza statolatrja i cześć dla nacjonalizmu, który zajmuje miejsce Boga. Ta statolatrja pogańska żyje w idealnej zgodzie z przedstawicielstwem „chrześcijaństwa", które wyznaje Mauriac, a przeciw któremu pragnie rozpocząć nieubłaganą krucjatę Istrati.

To samo widzimy w Niemczach. Kto przeczytał kilka broszur współpracowników Hitlera i jego książkę „Mein Kampf", temu nie trzeba mówić, iż germanizm wojujący szykuje się do nowej wojny o panowanie nad światem. Ten nacjonalizm niemiecki, podobnie jak faszyzm włoski, drwi z chrześcijaństwa i widzi w niem źródło niemocy, ale jednocześnie polityka robi sławetny „Gleichschaltung" i rzeczy boskie wiąże ze sprawami szatańskiemi. Kościół katolicki milczy i nie zabiera głosu w tych sprawach, a kościoły ewangelickie przelicytowują się wzajemnie w gorliwości tego „odrodzenia narodowego", które grozi wojną całemu światu. Powstaje jakaś chorobliwa mistyka niemiecko-ewangelicka, która chce doprowadzić germaństwo wojują-

ce do dzikiej egzaltacji, rodzą się pomysły, które świadczą wyraźnie o masowym obłędzie.

W Ameryce powstaje literatura, która jest jednem wielkiem i potężnem oskarżeniem tego kraju. Pieniądz jest tu wszystkiem. Panuje, kto ma pieniądze, choćby to był ostatni opryszek i głupiec. Słaby musi milczeć. Dreiser, Sinclair, Lewis, Dos Passos, Bromfield i tylu innych, to oskarżyciele tego społeczeństwa, które półkulturą swoją banalizuje cały świat. Ale nietylko literatura oskarża Amerykę: czyni to także kino i publicystyka. Jest coś przerażającego w rewelacjach o takim np. Hooverze i jego sposobach przywłaszczania sobie cudzych kopalń. Zaś afera międzynarodowego wyzyskiwacza Morgana pokazała, że nawet ludzie, którzy w Europie cieszą się głębokim szacunkiem jako przedstawiciele szlachetnego amerykanizmu, mogą należeć do afer brzydkich i ponurych, gdy chodzi o pieniądze. Kino amerykańskie ma na swoich przeciwległych biegunach miljardera i bandytę. Z reguły dzieje się tak, że bandyta jest gentlemanem, a miljarder bandytą. Kinowe obrazy więzienia amerykańskiego i amerykańskiego sądu tchną zgrozą najbezduszniejszej mechanizacji. Ubogi nie ma racji, a policja, prokuratorzy, sędziowie, to pionki w ręku miljonerów.

Łatwo wyobrazić sobie, jak szalałaby prasa całego świata, gdyby w wyniszczonej i z trudem odbudowującej się Polsce znalazł się choć blady cień takiego aferzysty, jak Morgan, takiego bandyty, jak Al Capone, takich stosunków, jakie wytworzyła prohibicja, powołując do życia olbrzymi przemysł przemytniczy z nieodłącznym od niego bandytyzmem.

I podczas gdy w Europie i Ameryce kościoły stają się ekspozyturami polityki zaborczej i imperjalistycznej, albo poprostu przedsiębiorstwami sprytnych businesmanów, atmosfera niepokoju ogarnia świat na tle likwidacji Ligi Narodów. Dziwne to zaiste: powołała Ligę do życia Ameryka i pierwsza się od niej odwróciła, nie chcąc brać na siebie części tej odpowiedzialności, jaka spoczywa na wszystkich narodach. Teraz ma powstać pakt czterech, który byłby likwidacją tej instytucji, niegdyś tak ciężarnej wielkiemi nadziejami.

Liga Narodów powstała na tle wiary w demokrację i stała się wielkim międzynarodowym parlamentem świata. Ale stało się, iż we Włoszech demokracja została zlikwidowana, a razem z nią uległ likwidacji parlamentaryzm. Za Włochami poszły Niemcy, które podobnież zlikwidowały demokrację i parlamentaryzm. Ale oba kraje zdają sobie sprawę z tego, że nie zdołają się ostać w Europie demokratycznej i w łonie Ligi Narodów, jeśli w tym parlamencie międzynarodowym wytwarzać się będą większości demokratyczne.

Tedy pod pozorem obrony pokoju powstaje myśl paktu czterech. Ten pakt ma wzór w faszyzmie włoskim, gdzie istnieje wielka rada faszystowska. Parlament włoski uchwala, co mu owa rada faszystowska do uchwalenia przedkłada. To samo ma się tedy powtórzyć w łonie Ligi Narodów. Członkowie paktu czterech tworzyliby w łonie Ligi coś w rodzaju rady faszystowskiej i przedkładaliby Lidze Narodów gotowe projekty do obowiązkowego przyjęcia, gdyż postaraliby się o sankcje przymusowe wobec opornych i słabszych. W tej radzie faszystowskiej faszyści włoscy i niemieccy mieliby stałą większość i bezwzględną przewagę, bo Francja i Anglja przy swoich rozbieżnych interesach nigdy nie szłyby z sobą ręka w rękę tak, jak oba państwa faszystowskie, rządzone przez dyktatorów. I znowu przy akompanjamencie pięknych słów, przy odgłosie dzwonów kościelnych i w dymie kadzideł powstałaby instytucja, której celem byłaby nierówność, ucisk, wyzyskiwanie słabszych przez mocniejszych.

Jednocześnie w Niemczech, tak zracjonalizowanych doniedawna, powstaje mistyka nacjonalistyczna, która daje do myślenia. Śród mnóstwa piśm nacjonalistycznych, egzaltujących germaństwo, wychodzi w Niemczech także pismo „Hochwart", a w tem piśmie popisywał się w maju niejaki Konrad Dürre takiemi wywodami: „Narodowa rewolucja nie może być uważana za dokonaną, jeśli nie przerzuci się na dziedzinę życia religijnego i nie zakotwiczy się w irracjonalnem". Chodzi tu autorowi o powołanie do życia „irracjonalnego państwa wiary niemieckiej" (eines irrationalen Reiches deutschen Glaubens). Ale ten cel można uwidocznić tylko przy pomocy potężnego symbolu. I taki symbol trzeba stworzyć.

Chrześcijanie niemieccy (die deutschen Christen) muszą obdarzyć swój naród świętością narodową, swoistem dziełem wykonanem ręką ludzką, ale którego idea, kształty i wymiary byłyby tak nadludzkie, niepojęte i irracjonalne, iż wierny musiałby kornie upaść na kolana. „Tą świętością niemieckiej wiary byłby gród wiary (Glaubensburg) *namiestnika niemieckiego Chrystusa, niemieckiego Zbawcy.* Jest to pomyślane irracjonalnie, gdy żądamy, aby na czele niemieckich chrześcijan stała nie wyższa rada kościelna, lecz *niemiecki wielki* książę Chrystusowy (deutscher Christherzog) podniesiony do nadrzeczywistych stopni, Bogobliski (der Gottnahe), jako najwyższy pośrednik wiodący ku Synowi Bożemu. Podniesiony będzie do nadrzeczywistych stopni, ponieważ miljony wiernych wydźwigną go ponad świat rzeczywisty... Zaś on, *wielki książę Chrystu-*

sowy, pooznacza niższe stopnie wszystkich odcieni..."

Niemiecki kolosalizm, który tak żywo przypomina monstrualne budowle i pomysły indyjskie, dochodzi tu do głosu i chce papieża niemieckiej wiary w Bogo-bliskim. Ten dziwoląg językowy jest tak pokraczny, jak to, co ma wyrażać i wyobrażać. Czy Niemcy stworzą sobie takiego Bogo-bliskiego, trudno w tej chwili przesądzać, bo nie brak tam jeszcze ludzi trzeźwych i rozsądnych, ale sam fakt, że takie dziwactwa przychodzą do głowy ludziom wychowanym w atmosferze racjonalizmu niemieckiego, ścisłej wiedzy i sumiennnych badań, budzi zaniepokojenie. Kolosalizm niemiecki zakłóca równowagę ducha europejskiego we wszystkich dziedzinach życia. Nad-człowiek, nad-wojna, nad-polityka, to ideały niemieckie, które przewyższa tylko iglica tych ideałów, mianowicie „Weltherrschaft", albo jak się wyraża Moeller van den Bruck, „Erdreich". Glob ziemski ma być prywatną własnością niemiecką, a Sieburg, wielki teoretyk nacjonalizmu niemieckiego, głosi, że niema takiego narodu, który nie chciałby być władcą świata.

Takie narody są: nie chcą być władcami świata, ale chcą współżyć z innemi narodami i współpracować jako równi z równymi i wolni z wolnymi. Niemiec inaczej: nie chce równości, ale pożąda władzy nad innymi. A w tem pożądaniu, tak zasadniczo sprzecznem z wiarą chrześcijańską i ideałami chrześcijańskiemi, znajduje sprzymierzeńców w kościele, który się jeszcze nazywa chrześcijańskim, ale nim nie jest. I niema śród niemców ani jednego Istratiego, który powiedziałby im, czem chrześcijaństwo być ma i być musi.

JERZY KURNATOWSKI

POZYSKANIE KORONY CZESKIEJ PRZEZ JAGIELLONÓW.

(dokończenie)

W stosunku do Polski Jerzy robi nowy decydujący krok, a mianowicie zwołuje sejm do Pragi, który na jego wniosek uchwala „dla wspólności języka obu narodów" oddanie korony czeskiej po jego śmierci Władysławowi synowi Kazimierza, pod warunkiem, że Władysław ożeni się z jego córką Ludmiłą i że Polska udzieli niezwłocznej pomocy zbrojnej przeciwko Mateuszowi, oraz będzie interwenjować u Papieża. Synowie Jerzego otrzymaliby księstwa lenne na Morawie i Śląsku.

Z temi propozycjami jedzie do Krakowa poselstwo czeskie złożone z panów Stibora z Cimburka Towaczowskiego, Benesza z Wajtmila i Pawła proboszcza zderazkiego. Król zwołuje naprędce „Radę prywatną" (consilium privatum), na której rozgrywa się znana już walka stronnictw: partja magnacko-klerykalna jest za odrzuceniem propozycyj czeskich, partja szlachecka za ich przyjęciem. Król nie chce decydować sam, zwołuje pełny sejm do Piotrkowa. W Piotrkowie są już nowe wieści z Rzymu: pokoju toruńskiego Papież w dalszym ciągu wzbrania się potwierdzić, a jednocześnie żąda, aby biskupem warmijskim został Thungen, nie zaś Kiełbasa. Król jest zdecydowanym zwolennikiem wypowiedzenia wojny. Jednak sejm, na którym argument wyczerpania kraju po wojnie pruskiej jest popularny, zgadza się tylko na pomoc dyplomatyczną i na popieranie oddziałów ochotniczych.

Kazimierz—nie czekając na te decyzje—wymógł na Stefanie Mołdawskim rozwinięcie silniejszej akcji i istotnie Stefan wkroczył do Węgier z silnym wojskiem, napotykając na słaby opór.

W trakcie tego Jerzy liczył oczywiście przedewszystkiem na własne siły. Wojna z Mateuszem wybuchła już w Czerwcu, prawie zaraz po słynnej koronacji. Tym razem szczęście sprzyjało raczej wojskom Jerzego, w których jest coraz więcej ludu. W południowych Czechach, aby nie dopuścić do ponownego wtargnięcia Węgrów, tworzą się t. zw. „ziemskie obrony", t. j. zbrojne pogotowie wszystkich mieszkańców. Wprawdzie w bitwie pod Trzebicami Wiktoryn został wzięty do niewoli i uprowadzony wgłąb Węgier, lecz ponieważ Wiktoryn nie miał zdolności wodza była to tylko strata moralna, która strategicznie wyszła na dobre. Właściwe Czechy są zabezpieczone od najazdu. Mateusz pragnie zachęcić Śląsk do żywszej akcji. Zjeżdża do Wrocławia, przyjmuje tam hołdy królewskie, ale jednocześnie zalewa tę dzielnicę fałszywą monetą i wywołuje obawę polskiej ofi-

cjalnej czy nieoficjalnej interwencji. Wojska Jerzego korzystają z tego stanu rzeczy i osiągają pierwsze sukcesy na Śląsku.

Wreszcie, gdy do najazdu Stefana mołdawskiego dołączy się obawa najazdu Turków na Węgry, oraz otwarty bunt magnatów węgierskich, Mateusz znajdzie się w bardzo trudnej sytuacji i wojska Jerzego wkroczą zwycięsko na Morawę.

Na polu dyplomatycznem następuje zbliżenie pomiędzy Jerzym, Kazimierzem, a Cesarzem. Ten ostatni podejmuje się interwencji w Rzymie.

Słowem przewaga Jerzego, która już zarysowała się w r. 1469-ym staje się zupełnie wyraźną w r. 1470-ym. Na początku 1471-go r. wojska Jerzego, opanowawszy Morawę, mogą już wkroczyć na Węgry. Jędrzej, młodszy syn Jerzego, który teraz dowodzi wojskami, okazuje się doskonałym wodzem.

W zimie 1471-go roku sytuacja Mateusza staje się rozpaczliwą. Czesi z jednej strony, Mołdawianie z drugiej, wkraczają na ziemię węgierską, a najazd turecki grozi każdej chwili. Magnaci żądają abdykacji Mateusza i mówią o polskiej kandydaturze. Wreszcie Rzym zaczyna być przerażony skutkami swej antyczeskiej polityki. Papież już nie powtarza słynnego swego powiedzenia, że „Bogu milszą jest walka z kielichem, niż z pół-księżycem", bo półksiężyc staje się naprawdę groźnym. Turcy zdobywają wielką wyspę grecką Eubeę i zagrażają Wenecji, która nie ma sił lądowych i bez pomocy węgierskiej czuje się niemal bezbronną.

Na stół wracają znowu compactata i kwestja pogodzenia się Czech z Rzymem na ich podstawie...

I gdy tak szczęście zdaje się sprzyjać Czechom i świta nadzieja, że wyjdą one zwycięsko z opresji, spadają dwa gromy.

22 lutego 1471-go r. umiera Rokyčana, a w miesiąc później 22 marca — sam król Jerzy z Podjebradu, przeżywszy lat zaledwie 51.

Na wieść o śmierci króla wielka jest radość w obozie magnacko-katolicko-niemieckim, wśród ludu czeskiego wybucha zato wielki żal, ból i płacz po królu Jerzym, Jerzyku, Jerzyczku — jak go we łzach pieszczotliwie nazywają. Wyłaniała się naturalnie kwestja następstwa tronu. Układy z Polską w tej sprawie nie były zakończone. Sejm praski upoważnił, jak widzieliśmy, króla Jerzego do ofiarowania korony czeskiej Władysławowi pod czterema warunkami: 1) pomocy zbrojnej, 2) pomocy dyplomatycznej, 3) małżeństwa z Ludmiłą, 4) przyznania lennych księstw synom Jerzego.

W Polsce i król i sejm zostawili żądania te w zawieszeniu; nie odrzucono ich, ale też i nie przyjęto. W rzeczywistości zaś Kazimierz udzielał tylko pomocy dyplomatycznej. W końcu 69-go r. Jerzy posunął się jeszcze dalej. Wysłał mianowicie do Kazimierza, podczas jego przebywania na sejmie piotrkowskim, świetne poselstwo, złożone z 12-tu posłów i 300-tu zbrojnych, które zaproponowało koronację Władysława za jego życia, byleby pozostałe warunki, a głównie udzielenie pomocy zbrojnej i małżeństwa z Ludmiłą zostały natychmiast wykonane.

Lecz i tym razem sejm, ciągle tłomacząc się wyczerpaniem powojennem, nie dał stanowczej zgody. Jedynie król Kazimierz żywiej zakrzątnął się w swych posunięciach dyplomatycznych i dopomógł do wyekwipowania wyprawy Stefana mołdawskiego.

Przez cały 70-ty rok pertraktacje w tej kwestji urywają się zupełnie, a wojska Jerzego zwyciężają Węgrów same, choć nie zostały wsparte polskiemi posiłkami.

W początku 71-go roku Jerzy znękany chorobą na tyle jednak zdaje sobie sprawę z przewagi własnych wojsk, że odrzuca propozycję, którą mu robi Mateusz, a mianowicie zaprzestania wojny, pod warunkiem, że jemu odda Jerzy koronę po śmierci. Propozycja ta jednak zaniepokoiła Kazimierza i sprawiła, że tem gorliwiej zajął się wraz z Cesarzem o uznanie w Rzymie compactat, gdzie pozatem działał już inny, silniejszy od poprzednich, argument w postaci grozy tureckiej.

W chwili śmierci Jerzego nic więc nie było ustalone. Sejm czeski poprostu musiał wybrać jego następcę tak, jakgdyby nie było żadnych uprzednich umów w tej sprawie.

Sejm elekcyjny został zwołany do Pragi na koniec kwietnia. Z Polski wyruszyło nań poselstwo złożone z panów Pawła Balickiego, Marcina Wrocimowskiego i Dobiesława z Kurozwęk, Lubelczykiem zwanego. Sejm zebrał się 24-go kwietnia. Trzech było kandydatów do tronu: Mateusz węgierski, Albert saski, ożeniony z córką zmarłego króla i Władysław syn Kazimierza Jagiellończyka.

Albert saski przybył z całą armją, z siedmiu tysiącami zbrojnych, gotowych, jak twierdził, do wojny z Mateuszem. Był zięciem królewskim. Mimo to odczuwano w nim Niemca. Mało miał zwolenników.

Za Mateuszem, który obiecywał tylko zawieszenie broni, agitowało zaledwie kilku magnatów.

Polscy posłowie natomiast wygrywali wszystkie atuty, podnosili przyjaźń Kazimierza z Jerzym, podobieństwo języków, słowiańską wspólność, jak niemniej chlubili się tem, że Kazimierz źle jest widziany w Rzymie, gdzie go nazywają opiekunem heretyków (haereticorum fautor) i gdzie nie mogą mu wybaczyć ani wojny z Zakonem, ani życzliwego stosunku do utrakwistycznych Czech. Obiecują wykupienie z niewoli węgierskiej

Wiktoryna. Za polską kandydaturą agituje pan Stibor Towaczowski. Udaje się dla niej zjednać nawet królewicza Jędrzeja.

Elekcja ma miejsce 18-go maja 1471-go roku w Kutnej Horze.

Za wyborem Mateusza przemawiał Jan biskup z Eslau, krótko, dumnie i wyzywająco. Mowa jego wywołała powszechne oburzenie. Węgrzy, nie czekając końca elekcji, wyjechali. Zręczniej przemawiano za kandydaturą Alberta Saskiego, jednak jego niemieckie pochodzenie, niedawne — wymuszone do pewnego stopnia — zajęcie Dolnych Łużyc, obecność jego siły zbrojnej w pobliżu Sejmu — drażniły i niepokoiły. Mowy za jego kandydaturą były źle przyjmowane.

Za Władysławem decydującą świetną mowę wygłosił pan Dobiesław z Kurozwęk—Lubelczyk. W mistrzowski sposób zagrał na wszystkich strunach przyjaźni królów, pokrewieństwa rasowego, wspólnego niebezpieczeństwa niemieckiego, wspólnych zatargów z Rzymem; sięgnął do przeszłości, do czasów Dąbrówki i św. Wojciecha, nie zapomniał o współczuciu okazywanem Husowi przez Polaków; narysował obraz świetnej przyszłości. Mowa ta wywołała huragan entuzjazmu. Zwolennicy innych kandydatur nie śmieli się odzywać.

27-go maja 1471-go r. Władysław Jagiellończyk został jednomyślnie wybrany królem Czech.

Niebawem wyruszyło z Pragi do Krakowa świetne poselstwo z braćmi Towaczowskimi z Cimburka na czele. 16-go czerwca odbyło się na ich cześć na Wawelu wspaniałe przyjęcie, i w ich obecności piętnastoletni królewicz Władysław zaprzysiągł w kaplicy zamkowej 19 artykułów, jakie sejm elekcyjny praski do zaprzysiężenia podał. Były wśród nich oczywiście i compactata, i przyjmowanie Komunji pod dwoma postaciami, i wszystkie odrębności utrakwizmu. Syn króla polskiego, który w owym 1471-ym roku był bez żadnej przesady najpotężniejszym monarchą na świecie, nie potrzebował obawiać się żadnych represji ze strony kurji rzymskiej. Po zaprzysiężeniu 19-tu artykułów nieopisany zapał ogarnął Kraków i całą Polskę. Wszyscy odczuwali, że stała się wielka rzecz, że pod berłem Jagiellonów ojca i syna powstała potęga, zdolna nietylko stawić czoło całej Europie, lecz i kierować nią.

W lecie Władysław na czele 10.000 rycerstwa polskiego wyruszył do Czech i 21-go sierpnia został uroczyście w Pradze w katedrze św. Wita koronowany Królem Czech. Koronacja wywołała niesłychany entuzjazm w Czechach. Władysława czekało zakończenie wojny z Mateuszem, który formalnie jeszcze nie skapitulował,—lecz teraz, kiedy już Czesi sami złamali impet jego natarcia i zmusili go do odwrotu, kiedy liczne rycerstwo polskie było gotowe do walki z nim, kiedy wreszcie Władysław miał zapewnione przymierze z Cesarzem, a Stefan mołdawski nacierał na Węgry od wschodu, w dodatku zaś magnaci węgierscy przechodzili do otwartego buntu — zakończenie wojny z Mateuszem nie przedstawiało żadnych trudności. Rozumiano to powszechnie. To też ani w Polsce, ani w Czechach cień Mateusza bynajmniej nie mącił ogólnego zapału i ogólnej radości. I my ich w tej chwili nie zamącajmy. Nie rozpatrujmy dziejów panowania Władysława. Zatrzymajmy się w momencie, kiedy Ameryka jeszcze nie była odkryta, kiedy nie wzeszły jeszcze gwiazdy Hiszpanji i Austrji, kiedy pod berłem Jagiellonów utworzyła się największa na świecie, na zasadzie „wolni z wolnymi, równi z równymi" oparta, słowiańska polsko-litewsko-rusko-czeska potęga.

Gdybyśmy się mniej zachwycali narazie czynami przez nas popełnionemi, mniej byłoby smutnych rezultatów.

ROMUALD BALAWELDER.

DUSZA PÓŁNOCY.

(Z podróży „Polonią“ do Danji, na fjordy Norwegji i Nordkap).

(Ciąg dalszy).

patrz początek Nr. 2.

Ryk syreny jeden, drugi, dziesiąty. Tym razem ryki zastępują straszydła na ptaki.

Chmura ptactwa porywa się z skał wyspy, którą mijamy. Jest to Hjelmsöy „Wyspa ptasia”, ulubione miejsce skrzydlatej rzeszy. W miarę przerażone (przyzwyczaily się zapewne do takich sygnatów pokazowych, o których nie zapomina żaden statek pasażerski), zataczały łuki, poczem siadały spokojnie na morze i w zagłębienia skał.

Jakiś czas następnie towarzyszy nam półw. Porsanger, „Wilczy”, niegościnny, bezludny. Zimny, przenikliwy wiatr; chmury płyną tuż przy morzu z błyskawiczną szybkością. Gęsty tuman mgły, drobny deszczyk siecze. Za parę sekund wychyla się słońce, aby miejsca ustąpić zwałowi chmur, ciskającemu ostre igiełki lodu. Niesamowita zmienność. Arktyczny świat. Na chwilę odsłonił się fragment Fruholmen, najdalej na świecie ku północy wysuniętej latarni morskiej.

— Nordkap! — wołają zdenerwowane głosy.

Nie, to jeszcze nie Nordkap. Każda skała wydaje się już ostatnią. Każda zda się czarna jak smoła i straszna jak śmierć.

Nareszcie! Tak, to kraniec Europy! Statek zaczyna się bardzo niepokoić, coś jakby przystawał.

To wyspa Mageröy, ostatni potwór skalny, którego cypel płn. zwie się właśnie Nordkapem. Patrzę na towarzyszy. Wielu myśli o chorobie morskiej. Statek chwieje się coraz roskoszniej.

— Nie dopłyniemy—zapewnia ktoś, blady z trwogi i wzruszenia.

Obserwuję kompas. Płyniemy najwyraźniej na wschód. W porządku. Okrążamy przyl. Knivskjelodden, od pn. uderzamy na Nordkap. Otóż jesteśmy. Godz. 10 w. „Polonia” próbuje stanąć w miejscu w pobliżu przylądka. Portu oczywiście niema. Szalupy mają nas zawieść pod prostopadłą prawie skałę. Statek zatacza się jak pijany. Pazury żelazne kotwic nie są w stanie utrzymać go na miejscu. Bałwany nacierają zwartymi szeregami. W powietrzu panuje jakiś nieopisany chaos. Wiatr dmie od północy, fale nacierają od południa.. Mgły spadają prosto z góry, to znowu podnoszą się pionowo,by następnie skręcić nagle na pd. i otulić wierzchołek Nordkapu. Błękit z szarością, ciemność boryka się z jasnością. Zimno atakuje.

Statek obraca się to w tę, to w ową stronę, jak osaczony zwierz. Wreszcie udało się żelaznym łańcuchem spętać „Polonię” jako-tako. Spuszczono motorówkę, małą motorówkę z Kopenhagi (własna zawiodła). Gdy łupina ta dostała się na kipiące wody Oceanu, zadrżeli pasażerowie. Bałwan pochwycił lekkie pudełko, podniósł na wysokość kilku metrów i strącił z grzbietu na dno ruchomego dołu.

— Szkoda łodzi! Zatonie! — krzyknięto.

Ale już bałwan następny łódź kopnął, wyniósł na swoją potężną grzywę i gotował się do rzucenia jej na stalową burtę okrętu.

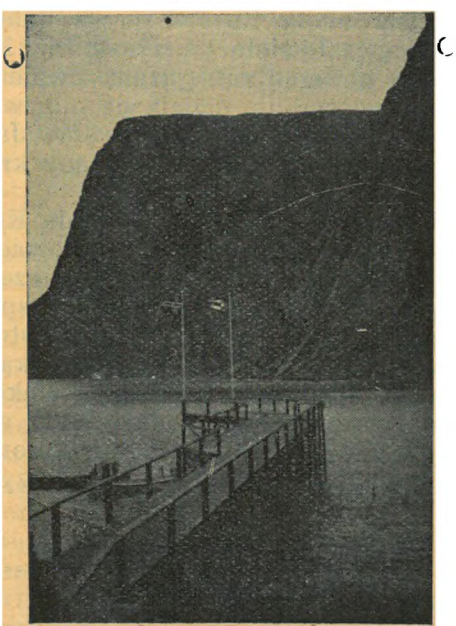

Nordkap. — Zatoka Hornviken.

Marynarz w łodzi czuwał. Odepchnął nogą łódź od statku. A wtedy powrotna fala zaatakowała go, usiłując odrzucić na otwarte morze. Marynarz zaparł się w nogach, zawisł całym ciężarem na linie, zwisającej z „Polonii”. Nie puścił! Walczył nogami, rękami, ciężarem całego ciała.

— W głowie mi się mąci. Czemu go nie wydobędą? Niech sobie łódka przepadnie, ale bez człowieku — mamrotała panna Wanda.

Mieliśmy przed oczami obrazek rzetelny pracy marynarza. Hej! Nareszcie pokazujecie, zuchy polskiej marynarki, jak wygląda walka człowieka z morzem!

Drugi dzielny chłopak zeskoczył z trapu, opuszczonego do połowy, w objęcia motorówki.

Wszyscy czekali, co będzie dalej. Czy pasażerowie mają wskakiwać do zwarjowanej łodzi? Niektórzy odwracali oczy i umykali do kajut. Inni mierzyli przestrzeń, dzielącą nas od zat. Hornviken, gdzie poza rozkołysaną wodą trzepotała się zachęcająco chorągiew norweska.

— Niepodobieństwo — szeptali. — Trzeba zrezygnować!

— Warjactwo — pomyślałem. — Przyjechać pod Nordkap i cofnąć się? Obawiałem się jednej rzeczy: czy kpt. Stankiewicz da pozwolenie na niebespieczną eskapadę. Po chwili oficer marynarki ogłosił: — Kto na ochotnika — proszę. —

Samuel blady, z gestem desperata zstąpił na schodki. Chciał być tym, o którym śpiewać będą kiedyś pieśni, że oto pierwszy z pierwszego polskiego okrętu dotknął Nordkapu. Przerachował się nieco z siłami. Zszedłszy na platformę trapu, zadrżał. Nogi ugięły się pod nieszczęsną ofiarą własnego bohaterstwa. Toż rzucić się trzeba do małej łodzi w tej części sekundy, gdy fala podrzuci ją w okolice trapu. I dobrze należy celować. Inaczej trafi prosto w otchłań wodną, z której... brrr...

Dwaj marynarze, ustawieni po bokach trapu, nie czekali, aż Samuel utopi się niechybnie. Chwycili drgające ciało jak bagaż i w odpowiednim momencie cisnęli je do łodzi. Upadł Samuel na dno motorówki; ale już dzielne ręce podniosły go i usadowiły. Tymczasem złaził drugi bagaż, autor niniejszego raportu, niezadowolony, że go wyprzedzono.

— Było nie było — pomyślał. Uczuł, że go chwytają mocne dłonie i już był w łodzi, wcale nie wywaliwszy się. A więc pierwszy bez upadku, też coś znaczy.

— Panie, jak my wydostaniemy się z powrotem ? — jęknął Samuel, pokazując na wysoki kadłub „Polonii", trudniejszy teraz do zdobycia od Nordkapu. Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo omal nie dostałem ciosu w głowę. Bałwan, podbijając łódź, celował prosto w spód trapu, chcąc maleństwo roztrzaskać lub wywrócić. Zdążyłem w czas odskoczyć. Po chwili bęc! — grzmotnęliśmy o burtę okrętu. Przerwano nadsyłanie pasażerów. Upłynęło kilka minut, a transport nowy nie nadchodził. Ludzie z góry gapili się na nas, jak na pokarm, rzucony rekinom.

Aliści jeden z oficerów wpadł na pomysł genjalny:

— Przybić deskę do trapu! —

W mig spełniono rozkaz. Okazało się, jak doskonałym był wynalazek. Łódź, uderzając o deskę, wystającą ku morzu, wyginała ją, a potem była odrzucana delikatnie. Deska pełniła funkcję hamulca i sprężyny odpychającej. Zaczęło się szybsze ładowanie łodzi, dwóch marynarzy rzucało pasażerów dwom innym, stojącym w łodzi.

Wszystko szło dobrze z tymi, co wierzyli ślepo w sprawność polskich marynarzy. Kto wiarę tracił, natychmiast otrzymywał karę.

— Ha! — op! — krzyknęli marynarze, chwytając w połowę pewnego lekarza. Ale ten ze strachu zaparł się i po niewczasie nogi puścił. Byłby napewno zakosztował wody Arktyku, gdyby nie przytomność umysłu marynarzy. Ci z trapu chwycili go za ręce, tamci z łodzi za nogi. Przez kilka sekund służył jak lina okrętowa do osłabiania podskoków łodzi. Inny, inżynier, wpakował nogi w samo morze, ale ręce na szczęście powierzył majtkom. W obronie przed katarem zdjął odrazu obuwie, tłumowi demonstrując sposób wykręcania podartych skarpetek. Trudno brać mu to za złe, bo właśnie po chwili pewna dama wpakowała się w motorówkę do góry nogami i długo nurkowała w powodzi nóg, zanim przybrała przyzwoitą pozę.

Nareszcie motorówka i szalupa naładowane. Zoturkotał motor, po łbach bałwanów przemykaliśmy się do Hornviken. Tutaj na małym pomoście czekał celnik. Trzeba Nordkap opłacić! 90 örów od osoby. Z pewnem wzruszeniem dotknęliśmy krańcowego punktu Europy. Przywitało nas jakieś mamrotanie Lapończyków. Chwalili zapewnie laski, prymitywnie rzeźbione oraz wyroby ręczne z kości i rogów reniferowych.

Rozmowa na migi szła sprawnie. Kupowano, targując się. Izydor pokazał, co umie.

— Cztery korony za dwie sztuki?—Macie.

Wziął towar i dał jedną koronę.

— Panie! panie! — wyciągnął ręce błagalnie mały człowiek. Ale Izydor był już w budce, gdzie sprzedawano kartki widokowe, różne pamiątki. Każdy chwytał pióro i pisał, pisał gorączkowo, naklejał znaczki z Nordkapem, sam przykładał pieczęć pocztową i wrzucał korespondencję do skrzynki, przybitej na drągu.

Tymczasem nadpłynął drugi transport, a z nim panna Lila i dr. Antoni. Zaczęło się wspinanie na górę. 71° 10° 20° szer. płn., a pot oblewa czoła. Ścieżka idzie zygzakowato, gdzieniegdzie dość stromo. W tych miejscach ubespieczono drogę linami. Wycieczka byłaby zupełnie wygodna, gdyby nie błoto. Z wszystkich stron sączy się cicho, pełza pokryjomu niby miljonowa rodzina wężów — woda. Łupki są oślizgłe, gleba, z nich powstała, grząska. Ale dzięki tej wilgotności i zaciszności wyrasta na zboczu Nordkapu przedziwna łąka, pokryta bujnem, różnobarwnem kwieciem. Napis na tabliczce przestrzega, by nie zrywać roślin w tym osobliwym parku natury.

Po pół godz. znaleźliśmy się na równinie. Ogarnął nas odrazu mroźny, bezustanny wiatr. Kwiaty zniknęły, przed oczami roztaczał się

ponury, nagi, monotonny płaskowyż. Na skale, owrzodzonej błotem, bagnami, czai się tylko gdzieniegdzie biedny, rdzawy mech. Fjeld! Typowy krajobraz Finnmarku.

Co za straszna samotność! Tutaj może być 100 tysięcy ludzi obok siebie. Mogą mówić, krzyczeć, objąć się w wspólnym uścisku, całować się, a każdy czuć się będzie samotnym najczarniejszą samotnością: samotnym wobec przyrody, położonym na grobowcu ziemi. Za dużo na trumnę, za mało do życia.

Dziewięć miesięcy męczy obca życiu wroga zima; zaciska 50° mrozu; zasypuje całunem bezpłodnym śniegu, odbiera ziemi moc rodzenia, wpijając się lodem w jej głąb, drwiąc z promieni słonecznych krótkiego lata. Dla wzmożenia udręki smaga biczami wichrów odrazu ze wszech stron, że niema dla zbłąkanej istoty ratunku.

W tych warunkach trudno żyć i pracować. Tutaj można być lemingiem, węszącym w norach ziemi; niedźwiedziem, polującym na świeże mięso; psem, zakochanym w człowieku, reniferem, skazanym na utrzymywanie swego pana, a co najwyżej małym Lapończykiem, „człowiekiem błot", tępym, głupawym, który, znalazłszy się w krainie wyższej kultury, ginie z tęsknoty za tyrańską zimą, za karłowatą brzózką, — za karłowatą duszą.

— Stoimy na szczycie Nordkapu. 307 m. nad powierzchnią morza.

Ręce sięgnęły mimowoli po czapki. Staliśmy chwilę jak w modlitwie. Skromny pomnik Oskara II (z 1873 r.) wydał się groźnym i majestatycznym. Albowiem jesteśmy w państwie Grozy i Majestatu. Rozgniewane wody Oceanu Lodowatego, przepaści bezdenne i to niebo, przesłonięte falującą iluzją mgieł, są tylko ich pałacem.

* * *

Ludzie porozchodzili się, poznikali we mgle. Odłączyłem się i ja od gromadki towarzyszy. Poszedłem przed siebie, przez fjeld, nad przepaść, wiodącą wprost do morza. Przede mną daleka Północ, burzliwy i tajemniczy Arktyk, gigantyczny świat zmagań! Tam daleko byli już ludzie. Wybrani. Mocą własną wybrani. Zdobywcy.

Z pamięci jęły się wydobywać różne szczegóły wypraw polarnych. Bohaterstwa bezprzykładne, a ciche, skromne. Dąży w dal Północy Nansen, Amundsen, Andree, Sverdrup, stu innych. Stalowe wojsko krainy Lodów. Serca i wszystko, co płomienne, ukryte pod grubą warstwą hartu, woli, zimnego nieubłaganego rozsądku, jak ogień wnętrza ziemi pod pancerzem lodów polarnych.

Świat, który pokonał uczucia. A jednak magnes ciągnie w te strony mroźne. Serce zwraca się za igłą magnesową ku lodowatej głowie ziemi i tej garści ludzi, co jej tajemnicę wydziera. Bezwiedny instynkt żelaza i bezwolny krwawiący dzwon, który tłucze się bezustannie w piersi człowieczej, dają się porwać przez siłę Nieznanego, który do Ziemi dziś przemawia z Kosmosu poprzez śmiertelnie spokojny, lodowaty aparat mózgu.

O! ludzkości! Na upalnej, podzwrotnikowej piersi Ziemi potrafił Bóg najpierw do ciebie przemówić. Na gorącem sercu Ziemi objawił ci *twoje* serce. Poznałaś miłość dla tego co, żywe.

Ale został strach przed śmiercią i przed wszystkiem, co obcem jest twemu sercu. Modlitwa twoja stawała się coraz bardziej jękliwą i spokorniałą. Bo na ziemi oprócz serca

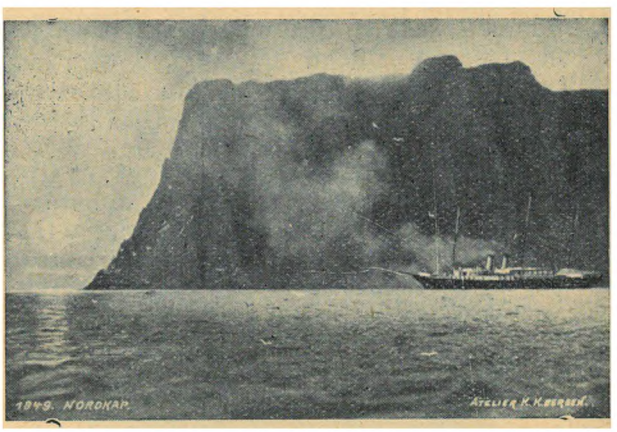

Nordkap. — Słońce o północy.

i gorącej piersi są krainy wiecznych lodów i niezbadanej śmierci: wrota do mroźnej otchłani Kosmosu. Nie zdobyć ich ani prześwietlić uczuciem. Na podbój ich objawił Bóg nowy cud: wolę i rozum. One nie lękają się tajemnic i śmierci. Idą na ich spotkanie, aby je poznać i przez ich dziedziny dążyć nieustannie ku Bogu.

O! Serce! Nie pochylaj głowy człowieczej do nizin piersi, — gdy się modli o jutro. Nie przeszkadzaj człowiekowi w ciężkiej, znojnej walce o zdobycie wyżyn, które ty zaledwo przeczuwać możesz. Bądź strudzonemu tylko dzwonem szczęścia i cichym schronem w chwilach, gdy mu sił zabraknie. Inaczej staniesz się zawadą i przekleństwem.

Posłuchaj:

Stoję na szczycie Europy, nad przepaścią, krok od śmierci. Zapatrzony w krainę śmierci i w tych, co w poszukiwaniu Nieznanego poświęcali trud i życie dla zbadania tajemnic, zapatrzony w grozę, moc i poświęcenie, modlę się z twarzą zwróconą śmiało prosto w niebo, prosto w Boga. Podnosi i upaja modlitwa mocy, modlitwa bez łez, bez próśb, klękania, niewolniczego kajania się. Bohaterowie postępu pokazują mi Chrystusa nowego, *żywego*. Chrystus ten mówi: „Serce moje

otwarte jest dla wszystkich, co w imię postępu walczą, pracują i cierpią, którzy na samolotach próbują wzlotów nad ziemią lub którzy w czarnych lochach kopalń wyszukują nowe dobra; którzy w laboratorjach przenikają tajemnice materji lub wgłębiają się w olbrzymi świat duszy ludzkiej. Postęp wasz nie przeraża mnie. Jestem zawsze wśród ofiarników przodujący. Jestem z wami, Bóg wasz".

O! tak! To jest Chrystus prawdziwy, którego mi pokazujecie, bohaterowie ludzkości. Nie proszę, aby zeszedł między tłum; wygnanoby Go stamtąd i oddano w ręce psychjatrów. Nauka o Chrystusie potrzebniejszą jest od Chrystusa.

Biedna Europo! Odwracam się od Arktyku i patrzę teraz na ciebie z twojego wierzchołka. Nie przepaść dumna — a gnojowisko, pełne łażącego robactwa. Poustawiane kolce, szczypce, kleszcze; trująca ciecz, wyziewy zabijające. I te brzęczenia, sykania haniebne a obłędne: „Precz! Odebrać! Przeklęty postęp! Koniec Europy"! Warjackie rojowisko, jeszcze nie obmyte z krwi wojny, dyszy żądzą zemsty. Czyżby.

Europo! Otwórz Bogu twoją głowę, jakeś Mu ongi serce otworzyła. Inaczej nie uratują cię papierowe aniołki i papierowi święci, co nad tobą latają.

* * *

SYNOD
Kościoła Ewangelicko-Reformowanego
w Rzeczypospolitej Polskiej.

W dniach 11 i 12 czerwca r. b. obradował tegoroczny Synod naszego Kościoła. Obrady synodalne poprzedziło uroczyste nabożeństwo w kościele naszym na Lesznie, odprawione przez Superintendenta Kościoła Przewielebnego Ks. Stefana Skierskiego. Na nabożeństwie obecni byli, oprócz przedstawicieli władz kościelnych, delegatów Zborów i licznych parafjan miejscowych, także duchowny parafji Anglikańskiej w Warszawie—Ks. Carpenter, oraz przedstawiciele Kościoła Ukraińskiego Ewangelicko-Reformowanego w osobach: Ks. prof. Kuziwa, Ks. Ks. Pawła Krata i Mikołaja Żurakowskiego z małżonką i prezesa Związku Ukraińców ewang.-reformowanych—p. Iwana Winniczuka. Głęboka w treść nauka na tekst 14-u pierwszych wierszy 37-go rozdz. proroka Ezechyjela wymownie podkreśliła konieczną potrzebę Ducha z góry przedewszystkiem w Kościele i jego organizacjach.

Po nabożeństwie synodujący zebrali się w sali Zborowej na Lesznie, a Vice-Prezes Synodu z urzędu — Ks. Superintendent zagaił sesję synodalną krótką modlitwą i wspomnieniem o zmarłych w ciągu ostatniego roku członkach Synodu, przyjaciołach i sympatykach Kościoła, których pamięć zebrani uczcili przez powstanie. Po odczytaniu reskryptu Pana Ministra W. R. i O. P., zezwalającego na otwarcie Synodu, i ukonstytuowaniu się tymczasowego prezydjum, przystąpiono do wyboru Prezesa Synodu, Notarjusza i Sekretarza. Na zaszczytną godność Prezesa Synodu powołano JW. Pana Aleksandra Karszo-Siedlewskiego, który już niejednokrotnie pełnił tę zaszczytną funkcję, na Notarjusza Synodu Przewielebnego Ks. Pułkownika Senjora K. Szefera, Jego zastępcę — Wielebnego Ks. Majora W. Fibicha, a na Sekretarza—p. St. Bretsch'a. Po wyborach odczytano życzenia i pozdrowienia od instytucyj i osób prywatnych, oraz powitano delegatów Zborów Ukraińskich i naszych prowincjonalnych.

Po załatwieniu tych przedwstępnych punktów porządku dziennego, Synod przystąpił do omawiania dalszych spraw programu. Program ten został na tegorocznym Synodzie po raz pierwszy podzielony w ten sposób, że pierwszy dzień obrad obejmował dział sprawozdawczy i wybory, natomiast drugi — sprawy, wymagające uchwał Synodu. Konsystorz zdał sprawozdanie ze swej działalności za rok synodalny 1932/33. Następnie Ks. Superintedent odczytał sprawozdanie z życia Kościoła. Tu należy podkreślić bardzo szczęśliwą inowację w porównaniu do lat ubiegłych. Dawniej sprawozdania, dotyczące życia Kościoła, przedstawiane były w oddzielnych referatach, co utrudniało słuchaczom ogarnięcie całokształtu prac w tej dziedzinie. Obecnie, po raz pierwszy, sprawozdanie zostało scalone, rzucając w ten sposób jakby na ekran całkowity obraz życia kościelnego za rok ubiegły.

W prześlicznie opracowanym co do treści i formy referacie sprawozdawca skreślił przed słuchaczami jak jasne tak i ciemne strony współżycia i współpracy w Kościele. Synodujący otrzymali ogólne wrażenie pozytywne, świadczące raczej o postępie i rozwoju spraw Kościelnych. Na pierwsze miejsce w sprawozdaniu wysunięto sprawy o bardzo doniosłem znaczeniu dla całokształtu życia Kościoła, mianowicie: akcesy do naszego Kościoła Zborów Ukraińskich ewang.-reformowanych, oraz grupy parafjan z Wilna, która odłączyła się od tamecznego Kościoła Ewang.-Reform. Zasługuje na uwagę również powstanie przy Zborze Warszawskim Związku Przyjaciół Misji Wewnętrznej, jako instytucji wnoszącej większą planowość do tak ważnej pracy misji wewnętrznej. W uznaniu dobrego i treściwego ujęcia całokształtu życia kościelnego, Synod zaopinjował, w celu umożliwienia zaznajomienia się ze sprawozdaniem szerszemu ogółowi współwyznawców, takowe podać do druku, polecając wykonanie powyższego Konsystorzowi.

Po zakończeniu działu sprawozdawczego przystąpiono do wyborów na nową kadencję: Prezesa Konsystorza, 1-go Członka świeckiego i Sekretarza. Przytłaczającą większością głosów zostali wybrani: na Prezesa Konsystorza — JWP. proferor Henryk Sachs, na 1-go Członka świeckiego — JWP. profesor Jerzy Kurnatowski, na Sekretarza — WP. Stanisław Bretsch, wszyscy ponownie. Na tem zakończono obrady pierwszego dnia Synodu.

Nazajutrz o godzinie 4-ej po poł. odprawione zostało w kościele naszym nabożeństwo przez administratora parafji Zelowskiej Wielebnego Ks. Piaseckiego. Po nabożeństwie udano się do Sali Zborowej na dalsze obrady synodalne. Odczytano przedstawienie Konsystorza w sprawie akcesu Kościoła Ukraińskiego Ewang.-Reform. Pertraktacje pomiędzy Kościołami zakończyły się w lipcu r. z. już po Synodzie zeszłorocznym. Konsystorz naszego Kościoła z jednej strony i przedstawiciele Związku Ukraińców wyznania ewang.-reform. — z drugiej podpisali ugodę, streszczającą się w 11 punktach. Na podstawie tej ugody Kościół Ukraiński Ewang.-Reform. ma korzystać z zupełnej autonomji wewnątrz swej organizacji z zachowaniem obrządków i obyczajów narodowych, natomiast nasz Kościół w charakterze opiekuna ma dopomagać Kościołowi Ukraińskiemu do zdobycia zupełnej samodzielności, a tymczasem reprezentować go na zewnątrz i wobec Władz Państwowych. Konsystorz dysponuje w porozumieniu z Kościołem Ukraińskim funduszami, przesyłanemi przez organizacje zagraniczne, wspierające ruch ukraiński na rzecz tego ruchu, natomiast sam nie finansuje w żadnym wypadku potrzeb tegoż Kościoła. Wszystkie zarządzenia Konsystorza, dotyczące akcesu Kościoła Ukraińskiego, zostały przez Synod potwierdzone. — W sprawozdaniu przedstawicieli Kościoła Ukraińskiego o ruchu ewangelizacyjnym na Pokuciu referent stwierdza fakt przystąpienia do naszego Kościoła kilkunastu Zborów, tworzących 3 parafje okręgowe z 4-ma pasterzami i 6-ciu djakonami, liczących kilkaset członków zarejestrowanych, oraz o wiele więcej sympatyków tego ruchu. Na szczególne podkreślenie zasługuje fakt zjechania do Polski ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej wybitnego i bardzo popularnego jak wśród Ukraińców samych, tak i u Władz Kościelnych w Ameryce Ks. prof. Kuziw'a, obecnego na Synodzie. Ks. Prof. Kuziw przyjechał po to, by ująć w swoje ręce ster ruchu ewangelizacyjnego na Pokuciu. Synod, w myśl zawartej ugody, powziął uchwałę, mocą której Ks. prof. Kuziw został powołany na Superintendenta Kościoła Ukraińskiego Ewang.-Reformowanego w Polsce. Synod z ogromną radością przyjął do wiadomości fakt przyłączenia się do naszego Kościoła Kościoła Ukraińskiego i potwierdził wszystkie zarządzenia w tej sprawie Konsystorza. W końcu tych wzruszających i budujących narad Ks. Superintendent złożył nowopowołanemu Superintendentowi, Ks prof. Kuziw'owi, jako swemu koledze, serdeczne życzenia błogosławionej pracy dla dobra Kościoła Ukraińskiego.

Pod miłem, pogodnem wrażeniem, w duchu wzajemnego zaufania przystąpiono do 13 punktu porządku obrad — do przedstawienia w sprawie Zboru Wileńskiego. Odczytano zarys powstania i organizacji Zboru w Wilnie, który utworzył się z grupy parafjan, należącej uprzednio do Kościoła Wil. Ewang.-Reform. Całokształt działalności i praktyki tegoż Kościoła, nie licujące z powagą tak wysokiej organizacji, zniewoliły powyższą grupę parafjan do złożenia swego akcesu do naszego Kościoła. Konsystorz, zadosyć czyniąc ich prośbie, zorganizował ich w oddzielną parafję i wyznaczył na administratora tej nowej parafji Wielebnego Ks. K. Ostachiewicza, którego uprzednio przyjął do grona Duchownych Kościoła Okręgu Warszawskiego. Synod, nadając bardzo doniosłe znaczenie całej akcji tak zw. „Wileńskiej", zatwierdził wszystkie zarządzenia Konsystorza.

Sprawa wniosku Wielebnego Ks. L. Zaunara - odprawiania Synodów również i w Zborach prowincjonalnych — została odroczona do czasu opracowania nowej ordynacji, dotyczącej składu synodujących.

Wreszcie zostały złożone sprawozdania w sprawach udziału Zborów w powiększeniu dochodów Fund. Ogólnego Kościoła, Fund. Stypendjalnego, zapisu Davisona, opieki nad grobami wyzn. ewang.-reform., rozproszonymi po całym kraju; sprawozdanie i bilans fundu-

szów, zostających w dyspozycji Konsystorza za rok 1932, etat Konsystorza na rok 1933, sprawozdanie Kasy Oszczędnościowo-zapomogowej, przedstawiono stan archiwum akt dawnych i bibljoteki synodalnej, rachunki parafjalne i Instytucyj Zborowych za rok 1932, oraz etaty parafjalne i Instytycyj Zborowych na rok 1933-ci. Odczytano protokuł Komisji Rewizyjnej i przeprowadzono wybory do tejże Komisji, powołując do niej poprzednich członków. Wszystkie powyższe sprawozdania zostały zatwierdzone przez Synod. Sesja Synodu zamkniętą została o godzinie 11-ej w. poczem synodujący udali się do kościoła na nabożeństwo dziękczynne, odprawione przez Ks. Superintendenta Skierskiego.

Ks. K. O

WIADOMOŚCI Z KOŚCIOŁA I O KOŚCIELE.

Niemcy.

W związku z rewolucją Hitlerowską w Niemczech, zwaną także „przebudzeniem się narodu niemieckiego", powstał także w łonie Ewangelicyzmu niemieckiego ruch, dążący do zjednoczenia poszczególnych organizacyj kościelnych w jeden „Ewangelicki Kościół Niemiecki" z jednym Biskupem na czele. Ciekawym jest dla nas stosunek do tego ruchu niemieckich ewangelików-reformowanych, którzy bardzo wyraźnie i stanowczo odrzucali i odrzucają wszelkie mieszanie się władzy świeckiej do sprawy ustroju, organizacji i życia wewnętrznego Kościoła. Dotychczasowe próby uzgodnienia stanowiska sfer kościelnych i pana Hitlera zawiodły i rozpocznie się, jak się zdaje, w Niemczech walka państwa Hilterowskiego z Kościołami ewangelickim i rzymsko-katolickim. W następnym numerze „Jednoty" podamy czytelnikom naszym dalszy przebieg zatargu i całokształtu ruchu reorganizacyjnego w Kościele. *S.*

Saksonja. — Powrót do kościoła.

W ostatnich czasach zauważyć można w Saksonji powrotny napływ do Kościoła tych, którzy go przed kilku laty z różnych względów opuścili. W związku z tem odbywają się w niektórych miejscowościach zbiorowe chrzty dzieci. W kościele w Hertha urządzono nabożeństwo, podczas którego ochrzczonych zostało 45 dzieci powyżej 3 lat. Ew. Pol.

Hiszpanja. — Nowa ustawa o szkolnictwie.

Parlament hiszpański przyjął nową ustawę o szkolnictwie, która zabrania członkom zgromadzeń zakonnych nauczania w szkołach. Zakaz niewątpliwie skierowany jest przeciw Kościołowi katolickiemu, którego zakony utrzymują bardzo liczne zakłady naukowe.

Ew. Pol.

Auglja. — Bezbożnictwo.

Z okazji debaty w Izbie Gmin nad projektem ustawy o zwalczaniu bezbożnictwa w wychowaniu szkolnem zwrócono uwagę na zastraszające objawy szerzącego się bezbożnictwa w Anglji, które zorganizowane jest w Lidze młodych komunistów, w Lidze oświaty robotniczej, w Klubie październikowców, w Oxfordzie i in. stowarzyszeniach, przez które Międzynarodówka młodych komunistów stara się oddziaływać na młodzież angielską.

Ew. Pol.

Brytyjskie i zagraniczne Towarzystwo Biblijne.

Jak ze sprawozdania za r. 1932/33 wynika, Brytyjskie i zagraniczne Towarzystwo biblijne w tym roku osiągnęło liczbę 667 języków, w których wydaje Biblję lub jej części. W tymże roku wydało Biblij 1.096.976, Nowych Testamentów 1.027.720, części Biblji 8.492.774. Dochody Towarzystwa wynosiły Ł 342.859, wydatki zaś Ł 369.392. Ew. Pol.

Rozwód w kościele katolickim.

Arcyksiążę Albrecht ożenił się przed kilku laty z rozwódką; ślub nie mógł się odbyć w kościele katolickim. Stolica apostolska zbadała pierwsze małżeństwo żony arc. Albrechta i znalazła w niem powód do rozwodu i w związku z tem unieważniła to małżeństwo.

Ew. Pol.

Błogosławieństwo papieża dla ewangelika.

Z okazji pobytu w Rzymie węgierski prezes rady ministrów Gömboes, ewangelik, był na audjencji u papieża, który mu udzielił swego błogosławieństwa. Donosząc o tem wypadku, ewangelicka prasa węgierska pyta, czy ten akt papieża dotyczy ewangelika czy polityka. Ew. Pol.

Finlandja. — Konferencja kościelna skandynawska.

Dnia 19 czerwca b. r. odbyła się w Helsingforsie konferencja przedstawicieli kościołów skandynawskich, poświęcona m. i. zagadnieniom walki chrześcijaństwa z nowoczesną kulturą. Ew. Pol.

Holandja. — Pacyfiści holenderscy w obronie pacyfistów niemieckich.

Organizacja „Kerk en Vrede" (kościół i pokój), do której należy 9000 członków, w tem 380 duchownych ewangelickich Holandji, wystosowała do niemieckiego ministra spraw zagranicznych Neuratha depeszę w sprawie uwolnienia pacyfistów niemieckich, uwięzionych przez obecny rząd Hitlera. Depesza powołuje się na słowa b. min. Chamberlaina i Greya w parlamencie angielskim, że w „Niemczech nie można mówić o pokoju" i podaje listę uwięzionych, m. i. Dr. Fr. Kaweraua, red. Karola v. Ossietzkyego, gen. v. Schoenaicha, prof. Dra. Lüninga.

Ew. Pol.

OFIARY.

I. Na Związek Przyjaciół Misji Wewnętrznej.

W-ny p. Mecenas Mieczysław Mosiewicz—Gdynia zł. 50.—

II. Na wydawnictwo „JEDNOTY".

Oprócz prenumeraty wpłacili na wydawnictwo:

1. W-y p. Edmund Diehl — Warszawa Zł. 8.00
2. W-y p. Ludwik Kronenberg „ „ 3.00
3. W-y p. Prof. Bartel „ „ 3.00

Serdeczne dzięki!

Kolegjum Kościelne Zboru ewang. reformowanego w Warszawie prosi Szanownych współwyznawców o nabywanie na własność nowych naszych śpiewników kościelnych.

Śpiewniki są do nabycia, w cenie zł. 12 za egzemplarz bez oprawy i zł. 15 w oprawie, w dnie powszednie w kancelarji kościelnej (Leszno 20), w niedziele po nabożeństwie u zakrystjana przy wyjściu z kościoła.

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

w Warszawskim Kościele Ewangelicko-Reformowanym na miesiąc lipiec 1933 r.
Nabożeństwa rozpoczynają się o godzinie 11.15 przed poł., o ile nie jest podana inna godzina.

1. Niedziela, dn. 2 VII (III N. po Trójcy Ś-ej) . . . . . Ks. E. Jelinek.
2. Niedziela, dn. 9.VII (IV N. po Trójcy Ś-ej) z Komunją Ś-tą i bezpośredniem do niej przygotowaniem . . . . . Ks. St. Skierski.
3. Niedziela, dn. 16.VII (V N po Trójcy Ś-ej) . . . . . Ks. St. Skierski.
4. Niedziela, dn. 23.VII (VI N. po Trójcy Ś-ej) . . . . . Ks. J. Jelinek.
5. Niedziela, dn. 30.VII (VII N. po Trójcy Ś-ej) . . . . . Ks. J. Jelinek.

CENY OGŁOSZEŃ: IV str. okładki — zł. 150; II str. — 100; III str. — zł. 75; ½ str. — zł. 75, 50, 35; ¼ str. — zł. 40, 30, 20, i ⅛ str. bez względu ua stronę — zł. 20.

STRONY ZWYKŁE cała strona — zł. 100, ½ str.— 50; ¼ str.— 30; ⅛— zł. 20. Przy ogłoszeniach kombinacyjnych i z kliszami do cen powyższych dolicza się 30%.

Drukarnia Matematyczna, H. Zajączkowski, Warszawa, Miedziana 3.